

Łukowska Joanna

Ostatni z rodu

Z „Fahrenheit”

Z cyklu: *Runowe opowieści*

Samotność nigdy nie jest sama. Zawsze znajdzie kogoś, na kim może się wyżywać.

– Towarzyska z niej suka – mruknął pod nosem Świtek, który przywykł na głos wypowiadać swoje myśli. Miał wtedy pewność, że jeszcze w ogóle umie myśleć, a tym samym świadomie istnieje. – "Myślę, więc jestem", jak mawiał Dziadunio, ale musiał to od kogoś zerznąć, bo zasadniczo jego prywatna filozofia sprowadzała się do dwóch prawd: "Nie pierdź, synu, pod wiatr, bo pożałujesz i nie gadaj z dupą, bo cię osra." – Podobnie jak większość skrzatów, Świtek nie znosił zadęcia i wzniosłych słów. Nie zwykł też idealizować przodków; wystarczało, że o nich pamiętał. I pod tym akurat względem różnił się znacznie od swoich pobratymców, którzy żyli tak, jak oddychali – na zasadzie odruchu. Gdyby Świtek potrafił przemóc swoją wrodzoną niechęć do wymyślnej retoryki, mógłby powiedzieć, że reszta skrzatów stała się bez troska i bezwolna niczym babie lato unoszone podmuchem byle wiatorku. Po prostu trwali – bez korzeni, idei, bez życiowego posłania, któremu z kolei od niepamiętnych czasów była wierna jego własna rodzina. Ale Świtek widział sprawy po swojemu i po swojemu oceniał.

– Zapomnieli, skórkowańcy, o przeszłości. Wypięli się na nią! – sarknął rozeźlony jak rój os. – Ale ja nie! Ja wciąż pamiętam, ja ostatni ze swojego rodu!

Nie dlatego jednak dopadła go samotność.

– Nie dlatego, dziuro, jestem sam – wytknął złośliwie swojej zachłannej towarzyszce. – Nie potemu, że nie ma już ani jednej samicy, która doceniłaby takiego Świtka jak ja. Nie potemu, wywłoko jedna, wredna, taka-siaka... – prychnął, plując przy tym jakby nałykał się muszek – ale dlatego, że reszcie wszystko wisi jak stara szyszka, że mają głęboko w omszałym tyłku swoje obowiązki! Nie zaplatają koniom grzyw, by się nie płały, nie sikają do mleka, żeby naleźycie się skwaśniało, nie opiekują się drzewami ani zwierzętami. I najgorsze! Nie dają się ludziom we znaki, gdy wleżą za daleko w nasz bór, w nasz świat. Nie chce im się, lisim synom! Zapomnieli o tradycji! Więc nie chcę mieć z nimi nic wspólnego, mać ich zaprzana!

Wydawało mu się, że krzyczy, że klnie wyraziście i zawzięcie, ale... Nie płoszył borsuków, układających się do snu pod korzeniami sosny ani słowików wyśpiewujących jedną z ostatnich pieśni przed nastaniem brzasku. Jego głos brzmiał bowiem zwykle jak szelest liści, skrzyp stuletniego dębu, a w tym konkretnym przypadku – najbardziej przypominał chrząkanie dzika. Świtek należał do lasu, w którym się urodził i żył od tak dawna, że małe drzewka zdążyły porosnąć i paść powalone starością, nie wichurą. Leśne skrzaty były naprawdę długowieczne; żyły o wiele dłużej niż polne czy domowe. Sprzyjał im wilgotny, cienisty klimat boru; boru, który ich karmił, chronił i odziewał. Świtek nie mógł przeboleć, że jako jedyny to doceniał.

– Budują domy z puszek, szmat i innego gówna, jakie porzucają ludzie na obrzeżach naszego świata. A te głąby taszcza to do środka! Do naszego lasu. Do mojego lasu! Zdrajcy! Ubierają się w ich wstrętne łąchy, jedzą zapleśniałe resztki, upijają się sfermentowanymi sokami i podniecają obmierzłymi rysunkami, którymi ktoś się wcześniej podtarł! Co za dno! Upadli niżej niż najpodlejsza z bakterii, przerabiająca

mierzwę w żyzną glebę. Oni niczego nie użyźniają. Stali się pasożytami. Dlatego właśnie jestem sam, bardziej samotny niż palec wystający z dziurawej skarpety, z dziurawego buta, którego zresztą nie noszę, bo wystarcza mi... – Świtek poruszył swoimi sześcioma palcami u stopy, okrytej onucą zielonego mchu. – Właśnie, las mi wystarcza.

Zza pazuchy jego zielonego kubraka, plecionego według pradawnego obyczaju z liści, łądyg i tyka, wyjrzała zaciekawiona wiewiórka.

– Masz – wsadził jej w łapki laskowego orzecha. Ruda główka zniknęła natychmiast.

– Świt..heh, Świt...heh! – zaskrzeczała sroka, wychylając się z obszernej kieszeni.

– Zamknij dziób i śpij – odburknął skrzat. – Nie pora nie ciebie.

– Świt...hoo, Świt...hoo! – zahukała radośnie młoda sówka, wracając do swojego bezpiecznego gniazda, za które uznawała bujną siwo-zieloną czuprynę Świtka.

– Widzę, że polowanie się udało – uśmiechnął się. – Tylko pamiętaj, myszy w mojej brodzie to swoi. Nie zeżryj ich na deser.

– Świiiitku, Świiiitku! – zapiszczały przerażone gryzonie.

– Bez obaw. Nie pozwalam zjadać domowników.

– Trrrrr! – zaterkotał budzik.

– Czwarta trzydzieści – oznajmił skrzat, spoglądając na podświetlany cyferblat. – Pora ruszyć do pracy – stęknął Świtek, podnosząc się z wygodnego legowiska.

Zegarek był jedynym wytworem działalności ludzkiej, której Świtek nie wdeptał ze złością w ziemię. Choć z początku miał na to wielką ochotę. Trudno powiedzieć, co go powstrzymało. Intuicja, przeczucie... Nie znalazł bowiem dziwnego czasomierza na skraju lasu, gdzie zapuszczały się inne zdemoralizowane i pozbawione dumy skrzaty, ale pośrodku swojej ulubionej jagodowej polany. Tajemnej polany. Nikt prócz niego nie umiał tam trafić. A jednak, kiedy Świtek objadał się słodkimi owocami, brudząc usta i dłonie fioletowym sokiem, wpadł mu w ręce zegarek z dewizką, który nie miał prawa się tam znaleźć. Z pozoru wyglądał jak typowa "cebula". Świtkowi las dostarczał wszystkiego, czego potrzebował, i nie żywił niezdrowej fascynacji, jaką zmanierowane skrzaty miały dla ludzkich wyrobów, ale ślepy nie był. Widział już kiedyś podobny przedmiot, wykonany z metalu i szkła, i wiedział do czego służy. Ale ten egzemplarz był inny, zdumiewająco inny... Za lekki na metal, zbyt wytrzymały jak na szkło, no i świecił. Po paru dniach badań i doświadczeń okazało się też, że nie tak łatwo go zepsuć – nie podziałała próba wody, błota ani kamieni. Wciąż działał, a na jego gładkiej powłoce nie pojawił się nawet cień rysy czy rdzy. Czyżby ludzie wymyślił coś, czego nie da się zniszczyć? Czemu nie da rady woda, powietrze ani... czas?

Przeróżająca perspektywa! Świtek ze strachem zdał sobie sprawę, że za milion lat jego ukochany bór może zniknąć pod górą takich niezniszczalnych rzeczy. Jednak zrezygnował z wdeptania zegarka w ziemię, by tam szczył, a przynajmniej zniknął mu z oczu. Zwątpił... gdy wyszło na jaw, że owo dziwo odmierza czas lepiej niż jakikolwiek z jego krewniaków. A tym właśnie talentem obdarowała Pani Boru protoplastę rodu Świtków – niesamowitym wyczuciem czasu. Świtkowie wiedzieli, kiedy wstaje słońce, kiedy pojawia się na horyzoncie; dokładnej i konkretniej zaś – kiedy powinno się obudzić. Od zarania wszechświata Świtkowie budzili słońce. Siadali tuż przed świtem na Wzgórzu Wschodów i czekali, aż niebo zapłonie pomarańczowo-żółtym blaskiem rodzącej się gwiazdy. Od tego zależało istnienie Ziemi, każdej jej żyjącej cząstki. Rozumiał to każdy z rodu Świtków.

Ludzie, nie wiedzieć po co, gromadzili się w obliczu śmierci. Dęli w surmy, zawodzili żałośnie, co nie znaczy, że szczerze, wyrwali włosy z głowy i wygłaszali mowy nad truchłem, na które skrzat nawet by nie splunął. Co z wozu spadło – to przepadło. Co więcej gadać, wystarczy pamiętać – jeżeli oczywiście jest

o czym. Natomiast jeśli chodzi o narodziny... Słońce potrzebowało świadka swych narodzin i ochrony przed demonami – jak każde bezbronne niemowlę. Towarzyszyli mu więc kolejni Świtkowie, strzegąc i podziwiając ten codzienny cud, na który większość przestała zwracać uwagę. Nawet skrzaty.

– Wykastrowałbym drani! – nie po raz pierwszy wściekał się Świtek. – Niech olewają końskie grzywy i uczciwą maślankę, ale... słońce? To nasze być albo nie być. Czemu te głupie wypierdki tego nie rozumieją? Powinno ich coś zeżreć, może wtedy przejrzeliby na oczy!

Co gorsza, sam Świtek też nie miał czystego sumienia. Nie był już najmłodszy; zdarzało mu się zaspać, a ponieważ nie miał go kto wyręczyć w obowiązku, bywało, że mało sobie nóg nie połamał pędząc na Górę Wschodów, by zdążyć na czas. Bał się, że w końcu kiedyś zawiedzie... Póki nie znalazł zegarka, który, bez względu na porę roku, pogodę i humor samego Świtka, budził go dokładnie na kwadrans przed świtem. Tyle wystarczyło, by skrzat dotarł na miejsce, nie tracąc oddechu i nie narażając wiekowych kończyn. Jak dziwny czasomierz to robił i dlaczego – Świtek nie miał zieloniutkiego pojęcia. Zaczął podejrzewać jakieś leśne czary. Bo przecież bór nie tolerował ludzkich śmieci. Wypierał się ich, traktował jak wrzód na nieskazitelnie czystej skórze natury i czym prędzej (co trwało czasem kilka wieków) okrywał plastrem runa i poszycia. Świtek doszedł więc do jedyne słusznego wniosku, że to jakiś dobry duch, może sama Pani Boru, podrzucił mu ów przydatny przyrząd. Gdzieś, ktoś – znacznie ważniejszy od leśnego skrzata – miał w tym swój wyższy cel, w który nie raczył Świtka wprowadzić, a Świtek nie zamierzał się obrażać z tego powodu. Grunt, że mógł wypełniać swój obowiązek.

I wypełniał go sumiennie, dzień po dniu, rok po roku... Kolejne pokolenia sów, srok, wiewiórek i myszy żyły bezpiecznie w zakamarkach jego kubraka, w płataninie już całkiem siwych włosów. A Świtek, z pomocą "wiernego druha", jak nazwał tajemniczy zegarek, budził słońce. Świat mógł się nie obawiać wiecznych ciemności...

Pewnego upalnego lata, w samo południe, skrzat przysnął. Tylko na chwilę, no... może parę chwil, ale było wyjątkowo gorąco, więc Świtek wczołgał się w cień wielkiej paproci na małą drzemkę, a kiedy się ocknął... sowa huczała żałośnie:

– Świt...hoo! Świt...hoo!

Sroka skrzeczała rozpaczliwie:

– Świt...hek! Świt...hek!

Myszy piszczały jedna przez drugą:

– Świiiitek! Świiiitek!

A wiewiórka trzymała w łapkach dewizkę. Samą dewizkę, już bez zegarka.

Strach dodał skrzatowi siły. Niczym młodzieniec zerwał się na omszałe nogi i zaczął biegać po własnych śladach, szukając zguby.

– Gdzie jesteś? Wierny Druhu! – nawoływał. Zaglądał pod korzenie, podnosił kamyki, przesypywał piasek, dotarł nawet na tajemną, odległą, nie odwiedzaną od lat, jagodową polankę. Obejrzał dokładnie każdy krzaczek i... nic! Świtek pierwszy raz w swoim długim życiu rozplakał się.

– Co teraz będzie? – chlpał, ocierając łzy i smarki rękawem. – Co się teraz stanie?!

Nagle tknęła go pewna myśl.

– Ukradli go! Wredne, podłe lisie syny!

To było jedyne logiczne wytłumaczenie. Podeszli go, kiedy spał, i zwędzili skarb, nie mając pojęcia, jak bardzo jest cenny.

– Połasili się na błyskotkę niczym głupia sroka! – Był zbyt zdenerwowany, by zareagować na oburzony skrzek lokatorki swojej kieszeni. – Głupcy, nie mieli pojęcia, co czynią! Wybacz im, Pani Boru, bo ja nie potrafię...

Świtek nie zadawał się z motłochem, ale wiedział, gdzie znaleźć nastawionych minimalistycznie przedstawicieli swojego gatunku. Na obrzeżach. W imię ważniejszej sprawy wychynął więc z ukochanych ostępów dziewiczego boru.

– Oddawać, coście ukradli, pokraki! – wrzasnął, wpadając w środek przyjęcia zorganizowanego pośrodku śmietniska. Knyпки, które kiedyś zaliczały się do szlachetnej gromady skrzatów leśnych, balowały wśród ruin czegoś, co ludzie nazywali parkingiem leśnym. Na podobieństwo owadów zajadały się resztkami kanapek i ogryzkami owoców, zapijając spleśniałe frykasy piwem i winem z nie dopitych flaszek. Ohyda!

– Coś ci zginęło, Świtek? Beee! – beknął jeden z knypków. Przypominał trochę starego Bobera, Stróża Bobrowych Żeremi, ale był zdecydowanie za młody.

– Bober, to ty? – zapytał niepewnie Świtek. – Jak mogłeś stoczyć się tak nisko, żeby żreć ludzkie odpadki...

– Jestem Bob – przerwał mu knypek. – Bober wyciągnął kopyta sto lat temu albo jeszcze dawniej; był moim pradziadkiem, a może prapradziadkiem. Kogo to zresztą obchodzi... – mruknął pogardliwie.

– Mnie, gówniarzu, obchodzi! – ryknął skrzat. – Bober był kiedyś moim kamratem, zanim skusiła go łatwizna. Jak mógł zemrzeć tak szybko? Był młodszy ode mnie...

Potomek Stróża Żeremi wzruszył ramionami. Może pozostały w nim resztki wstydu i honoru, bo nie kwapił się z wyjawieniem przykrej prawdy. Odkąd leśne skrzaty zerwały z przeszłością i wypięły się na swoje obowiązki, zyskały więcej czasu na zabawę, ale straciły przywilej długowieczności. Teraz żyły ledwie dwa razy tyle co ludzie.

– Więc, co ci zginęło? – burknął Bob.

– Nic mi nie zginęło. Okradliście mnie! I macie mi to w te pędy oddać!

– A jak nie... to co? – spytał bełkotliwym tonem towarzysza Boba. Był rudy jak lisia kita, ale nawet nie zamierzał udawać, że nie wie, o co chodzi.

– Czy robaki do reszty mózg wam wyjadły?! Nie wiecie, co się stanie, jeżeli nie obudzę słońca? Apokalipsa będzie! Koniec świata! – pieklił się Świtek.

– A budź sobie, stary, słońce, kto ci broni? My? Podłe męty? – roześmiał się złośliwie Bob. – Jak my, wyrodki i wypierdki, moglibyśmy przeszkodzić ci w twoim zbożnym dziele?

– Oddajcie zegarek! – zażądał Świtek. Nie zamierzał się wdawać w żadne dyskusje.

– A po co ci zegarek, kochasiu? – Jaskrawo wymalowana samica otarła się o skrzata swym bujnym biustem. Świtek, kiedyś niezły ogier, aż wstrząsnął się z obrzydzenia. Samica śmierdziała ludzkimi perfumami na wiorstę.

– No, właśnie... – podchwycił Bob. – To twoje psie powołanie budzić słońce. Na jakiego grzyba potrzebne ci do tego... to cacko? – na jego brudnej, świętokradczej dłoni spoczywał Wierny Druh.

– Oddawaj! – Świtek wyciągnął rękę.

– Nic z tego! – Palce knypka zacisnęły się na zegarku. – Musi być wiele wart. Sprzedamy i zabawimy się na całego. A słońce wstanie tak czy siak. To z kolei jego psi obowiązek. Wszystko kręci się wokół niego. Jeden stary zarośnięty skrzat nie zmieni praw fizyki ani astronomii. – Bob udawał mądrą.

– Nie!!! – W głosie Świtka zabrzmiał rozpaczliwy jęk zaszczutej zwierzyny. – Nie rozumiecie...!

– Ależ rozumiemy... – Bob zawiesił głos. – Jesteś stary, za stary, zasypiasz na służbie, która zresztą wisi nam nisko, ale... nigdy nic nie wiadomo. Warto się zabezpieczyć. Może Pani Boru jednak istnieje, choć od wieków nikt jej nie widział... Wkupimy się w jej łaski, biorąc na siebie twoją robotę. Jesteś ostatni. Znałeś mojego pradziada, ale nie masz potomka. Co za niefart... – Knypek udał, że mu przykro, ale już w po chwili jego ciemne oczy załśniły wrogo. – Wynocha, zmykaj w podskokach! – wycedził. – O ile potrafisz jeszcze podskoczyć na tych swoich krzywych kulasach. Lepiej zaszyj się w jakiejś jamie i śpij do południa. Wzgórze Wschodów zyskało nowych strażników. Mając to... – Bob ujął dewizkę i zakował zegarkiem – doskonale cię zastąpimy.

– Nie wystarczy uchwycić berło, żeby zostać królem – zaproponował Świtek. Bywa, że trudna sytuacja wymaga jednak wielkich słów.

– Spaa...adaj! – wybełkotał ululany rudy knypek.

– Spadaj! – podchwyciła wymalowana samica.

– Spadaj – powtórzył Bob. – Zaszyj się i zapomnij. Teraz my przejmujemy władzę nad słońcem. Z zegarkiem czy bez i tak nie kładziemy się spać przed świtem. Bawimy się! Tak jak teraz. Więc lepiej spadaj. Spadaj!

I po chwili cała podchmielona gromada skandowała:

– Spadaj, stary, spadaj, spa-daj!!!

Zgnębiony skrzat podążył na Wzgórze Wschodów. Obiecał sobie, że nie zaśnie. Wytrzyma.

Wytrwał do końca dnia, do zachodu. Wieczorna cisza ukołysa jego zgnębione myśli, zmrok pozwolił odpocząć oczom... Miękki mech kusił.

– Nie położę się. Wytrzymam. Nie jestem sam...

Jak zwykle towarzyszyły mu duchy przodków i samotność. Poczuł się potwornie zmęczony.

– Nikomu nie zależy, mają mnie za starego dziwaka, za przeżytek. Twierdzą, że słońce wstanie bez względu, czy je powitam zgodnie z pradawnym obyczajem czy nie. Może mają rację... Nie! Nie poddam się! Nie uwierzę, skubańcom! Tylko... położę się na małą chwilkę, na parę sekund. Odpocznę, odsapnę, by z czystymi myślami i sercem pokłonić się Najjaśniejszej Gwieździe...

Mech posłużył za posłanie, zaprzyjaźniony borsuk za poduszkę, wiewiórki, sowy, sroki i cały ród myszy – za ciepłą, miękką kołdrę. Świtek zasługiwał na odpoczynek. Żył już tak długo – wciąż wierny tradycji

i wytrwały w jej pielęgnowaniu; coraz starszy, a jednak wciąż młody dzięki miłości do lasu, który i jego ukochał. Nie jego wina, że sił mu zabrakło, gdy obrócił się przeciw niemu jego własny gatunek. Zasnął...

Ocknął się i wiedział, że się spóźnił. O sekundę, ale jednak. Uchwycił błady pomarańczowy błysk, ślad żółtych palców na horyzoncie, które znikły przykryte wraz opadającą poranną mgłą. Bo przecież poranek nie nastąpił...

Zza pleców doszedł do Świtka hałas przeklinającej, przedzierającej się przez knieję rozbawionej gromady.

– No to jesteście, stary – oznajmił swoje przybycie Bob. Spojrzał na cyferblat. – Nie musiałeś się fatygować. Mówiłem, że przyjdziemy. Piętnaście sekund po czasie, ale to szczegół. Panie chciały się wyszykować na przyjęcie...

– Za późno – szepnął Świtek, nawet nie czując złości.

– ...na nowy świecki obyczaj budzenia słońca... – kontynuował kpiącym tonem przywódca knypków.

– Za późno – powtórzył beznamiętnie stary skrzat. Nawet samotność go opuściła. Trudno zerować na ofierze, w której nie pozostał cień jakiegokolwiek uczucia.

– No, i gdzie to słońce? – zniecierpliwiła się wysztafirowana samica. – Wystroiłam się, pozwoliłam zerwać z leża o nieprzyzwoitej porze. Nawet śniadania nie zjadłam, nie wspominając o drinku na pobudzenie! Gdzie to w tyłek kopane słońce?!

– Zamknij się! – warknął Bob, któremu z wolna zaczęła się podnosić szczecina na karku. Czuł strach. Czuł lodowaty oddech martwych przodków na skórze. Wzgardzonych, zapomnianych przodków.

– O, kurwa, czemu tak ciemno? – spytał całkiem trzeźwo zazwyczaj pijany w trzy dupy rudy knypek.

– Świtek, zrób coś! Masz! – Bob wcisnął mu w rękę zegarek. – Jestem śmieciem, ale zrób coś, błagam! Masz, masz! – zaciskał mu palce na kompletnie już bezużytecznym czasomierzu. Cyferblat zgasł. Wskazówki zatrzymały się. Wierny Druh umarł, jego magia odeszła, pozostała jedynie sztuczna ludzka powłoka.

– Nie jestem wiewiórką – odparł spokojnie skrzat, zwracając mu zegarek. – Laskowy orzeszek nie wystarczy. Pamiętasz, ja też ci coś mówiłem; że nie wystarczy uchwycić berło, żeby zostać królem. Myliłem się. Zostałeś królem. Królem Wiecznej Nocy.

– Nie chcę! – jęknął Bob. – Nie chcę!

– Możliwe... – Pomimo panującej ciemności, młody skrzat dostrzegł ironiczny uśmiech na pomarszczonej, zarośniętej twarzy Świtka. – Ale to już twój problem, smarku. Rzekłeś, jestem już stary i nie mam potomka. Przynajmniej nie muszę się przed nim wstydzić, że zasnęłam i zawiodłam. Stało się. Teraz twoja kolej, Bob, praprawnuku Bobera, Stróża Bobrowych Żeremi. Sam mianowałeś się Nowym Strażnikiem. I zaraz na początku służby dałeś ciała, złodzieju zegarków.

– Nie zwędziłem go, to Rudy, nie ja, przysięgam! – zaklinał się Bob.

– W rzyci mam twoje przysięgi, knypku – odparł beznamiętnie Świtek. – Wziąłeś Wiernego Druha i nie oddałeś. Ponieś konsekwencje z honorem, jeżeli jeszcze wiesz, co to słowo znaczy. Słońce odeszło, tak jak bobry, których nie upilnowałeś. I ty śmiałeś mierzyć się z Najjaśniejszą Gwiazdą? – Stary skrzat pokręcił głową w niedowierzaniu. – Obaj zawiedliśmy, ale ja już nie mam siły. Twoja kolej. Przypomnij sobie, kim

jesteś i napraw zło, bo inaczej... przyjdzie światu żyć pod Ciemną Gwiazdą. A nie będzie to łatwe, o ile w ogóle możliwe...

Świtek odwrócił się i zniknął w gęstwie lasu, swojego odwiecznego sprzymierzeńca. Towarzyszyły mu sowa, sroka, wiewiórka, rodzina myszy i... samotność. Tak, nawet ona przywiązała się do niego. Wróciła, bo chciała, żeby miał z kim gadać, kogo poprzeklinać, kiedy przyjdzie mu na to ochota.

Bob patrzył w cień, jaki pozostawił za sobą stary skrzat. "Skubany dziadyga, nigdy tu już nie wróci" – pomyślał i... aż ugiął się pod ciężarem odpowiedzialności. Nagle poczuł jak oplatają go korzenie, jak przeszłość domaga się swoich praw. Coraz bardziej przerażeni kompani poczęli gnać się do niego, jakby mógł im zastąpić słońce.

Młody skrzat, stojąc na Wzgórzu Wschodów, wciąż z nadzieją wypatrywał w oddali jasnego, złocistego śladu. Czekał, a noce zlewały się ze sobą. Nie było wszak dni, które oddzieliłyby jedną noc od drugiej, piątą od dziesiątej... Bob nie jadł, nie spał – tylko stał i czekał, rozdarty między obowiązkiem, którego wcale nie chciał się podjąć, a beztroską, za którą tęsknił, a której nie potrafił już odczuwać. W końcu pajęczyna babiego lata pękła ostatecznie. Bob odwrócił się plecami do czarnego horyzontu i ruszył ku swemu przeznaczeniu – jakie by nie było.

A za nim podążyła samotność...